ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ

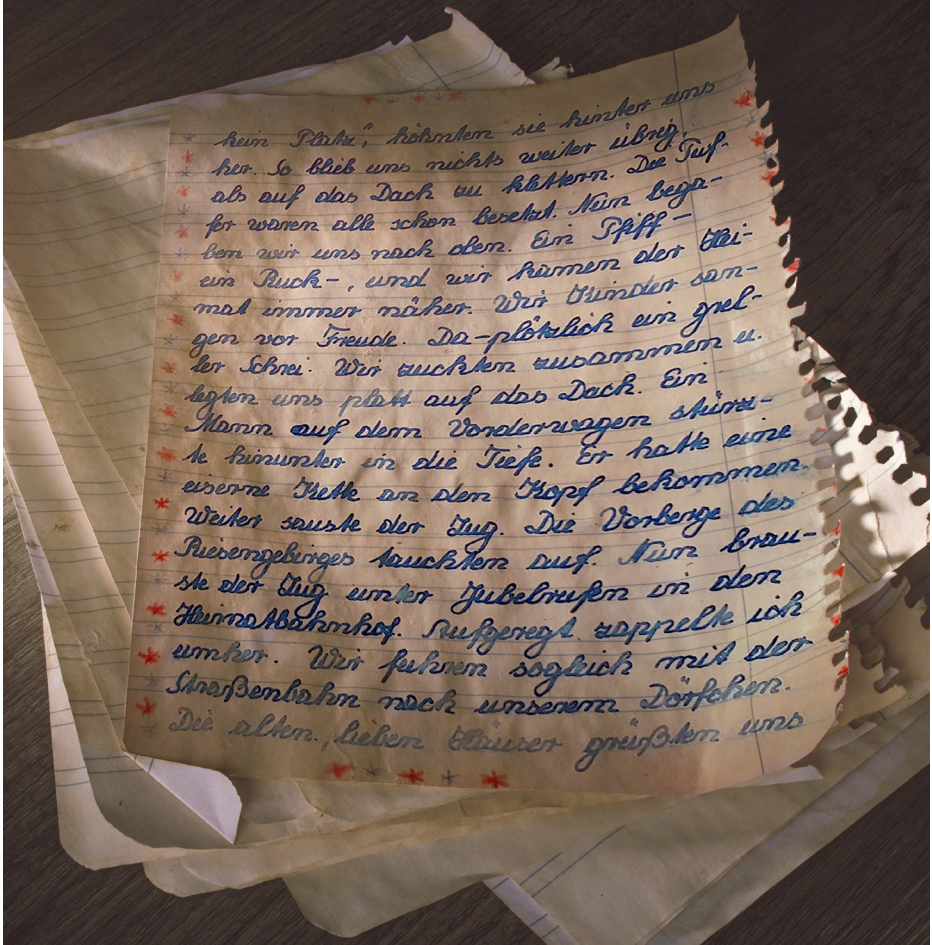

Friedman Scholz

Nasz czas ucieczki

DOM WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
HAUS DER DEUTSCH-POLNISCHEN ZUSAMMENARBEIT

WYDAWCA | HERAUSGEBER
Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej
Haus der Deutsch-Polnischen Zusammenarbeit
ul. Górnych Wałów 7
44-100 Gliwice

Broszura wydana w ramach projektu „Archiwum Historii Mówionej"
Die Broschüre wurde im Rahmen des Projekts „Archiv der erzählten Geschichte" herausgegeben www.e-historie.pl

REDAKCJA NAUKOWA TEKSTÓW | WISSENSCHAFTLICHE BEARBEITUNG DER TEXTE
dr Joanna Lusek, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu

KOREKTA JĘZYKOWA | SPRACHLICHE KORREKTUR
Patrycja Wacław

TŁUMACZENIA | ÜBERSETZUNG
Emilia Wójcik

KOORDYNACJA PROJEKTU | KOORDINATION DES PROJEKTS
Beata Sordon /Martyna Halek

LAYOUT, SKŁAD I DRUK | LAYOUT, SATZ UND DRUCK
Emanuela Janda / Weronika Kuliberda / Digital Monsters

FINANSOWANIE / FINANZIERUNG

URZĄD MARSZAŁKOWSKI Województwa Opolskiego
STAATSMINISTERIUM DES INNERN | Freistaat SACHSEN

Broszura została sfinansowana ze środków Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego oraz Saksońskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
Die Broschüre wurde mit Mitteln des Oppelner Marschallamtes und des Sächsischen Staatsministerium des Innern finanziert

PARTNER | PARTNER

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji
Konsulat der Bundesrepublik Deutschland Oppeln
Konsulat Republiki Federalnej Niemiec Opole

Copyright by Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej
Gliwice – Opole 2022

Friedman Scholz

Nasz czas ucieczki

WSTĘP

Słowo „Heimat" ma kilka znaczeń, ponieważ dla wielu ludzi oznacza miejsce, w którym się urodzili i wychowali, gdzie czują się jak w domu.

Niektórzy z nas zaś postrzegają „Heimat" jako cały kraj, podczas gdy inni myślą o konkretnym miejscu, z którym są emocjonalnie związani. To pokazuje, jak złożone i indywidualne jest to pojęcie. W ten sposób Heimat może oznaczać coś innego dla każdego z nas.

Staramy się uczyć z przeszłości oraz doświadczeń naszych przodków, lecz nie zawsze nam się to udaje. Ważne jest by znać historię swojej rodziny i miejsca w którym żyjemy. Tylko wtedy, gdy jesteśmy świadomi swojej przeszłości, możemy spojrzeć w przyszłość i ją kształtować.

Niniejsza publikacja jest zbiorem prac konkursowych „Mój Hajmat – moja ojczyzna", wydana w ramach projektu Archiwum Historii Mówionej Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej. Celem konkursu jest zebranie ciekawych historii z różnych regionów, ukazujących ludzkie losy, niezależnie od wieku, czasu i miejsca.

Każda nadesłana praca konkursowa interpretuje słowo „Heimat" na swój własny, niepowtarzalny sposób. Zebrane materiały stanowią nieoceniony wkład, który nie tylko promuje historię regionu, ale również ma na celu wzbudzenie zainteresowania i ciekawości wśród czytelników, po to by sami zaczęli odkrywać swoją własną przeszłość i tożsamość.

Beata Sordon
Menedżerka projektu Archiwum Historii Mówionej

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Die Publikation gibt nur die Ansichten des Autors/der Autoren wieder und kann nicht mit der offiziellen Position des Ministers für Inneres und Verwaltung gleichgesetzt werden

7.5.49

CZAS NASZEJ UCIECZKI

1. WPROWADZENIE

Mieszkaliśmy na uboczu, niedaleko miasta przemysłowego Wałbrzych na Śląsku. Mój domek rodzinny położony był pośród zielonych łąk i falujących łanów zbóż. Niedaleko rozciągał się niewielki park z dostojnymi bukami i kasztanowcami. W gąszczu porośniętych liśćmi gałęzi czterech lip, stojących przed naszym domem, ptaki latem wyśpiewywały najpiękniejsze piosenki. Piękny pejzaż okalały migoczące promyki słońca, które od rana do wieczora rozpromieniały okolicę. Skowronki świergotały w niebieskiej przestrzeni. Wszystko to tworzyło widok tak miły, jak pewnie nigdzie indziej. Jak długo jeszcze będziemy mogli się nim cieszyć?

2. WYJAZD Z NASZEJ MAŁEJ OJCZYZNY

Był początek marca 1945. Dniem i nocą słyszeliśmy huk armat. Wróg był coraz bliżej. Miałam wtedy 9 lat, moja młodsza siostra 8, a mała Marianne – 6 tygodni. Ludzie byli niespokojni. Z niecierpliwością czekali na informacje w radio. Któregoś dnia stało się coś niespodziewanego: wcześnie rano siostra z Czerwonego Krzyża stanęła przed naszymi drzwiami i kazała uciekać przed wrogiem. Ale dokąd? Przed naszymi oczami stanął wielki znak zapytania. Mimo tego spakowaliśmy, co mogliśmy i pojechaliśmy na dworzec. Pociąg szpitalny, tak długi, jakby nie miał końca, stał gotowy do odjazdu. Pożegnałyśmy się z naszym ojcem, a potem było „Wsiadać!". W wąskich pomieszczeniach po trzy łóżka umieszczone były jedno nad drugim. My dostałyśmy we czwórkę jedno takie pomieszczenie dla siebie. Po kilku godzinach plecy tak mnie rozbolały, że musiałam

się położyć. Wieczorem pociąg ruszył. Żołnierze dbali o nas. Była kasza, chleb z kiełbasą i ryż. Jechaliśmy przez Czechosłowację. W Pradze, z powodu nalotu, pociąg musiał się na jakiś czas zatrzymać. Trzy dni sunął tak przed siebie. Wszyscy mieliśmy nietęgie miny. Każdy z nas chciał wracać do domu. W końcu, trzeciej nocy dotarliśmy do celu. Byliśmy w Dolnej Bawarii, niedaleko Passau. Jeszcze jeden dzień musieliśmy przetrzymać w wąskim pomieszczeniu, potem nadeszło wybawienie.

13.3.49

3. PRZYJAZD DO BAWARII

„Dzień rozładunku" był bardzo niespokojny. Padał śnieg i deszcz, na przemian. Załadowano nas na wóz konny i ruszyliśmy. Długo trwała ta jazda, a my dzielnie kroczyliśmy przy jadącym wozie. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy jakiejś szkole. Pięćdziesiąt osób tłoczyło się w małym pomieszczeniu na swoich słomiankach. W porze obiadowej zawsze dochodziło do kłótni, bo każdy chciał coś ugotować na małym piecyku. W tym czasie najbardziej rozchorowała się nasza „beniaminka", a mama czuwała przy jej łóżeczku dniem i nocą. Z trwogą wsłuchiwała się w jej oddech. Któregoś dnia starsze dzieci – moja siostra, dwoje innych dzieci „uchodźców" i ja – postanowiły pójść na jajka. Wiele dzieci ze szkoły już próbowało. Nasza mała Marianne miała jeść dużo jajek, tak powiedział lekarz. Poranek był ciepły, śnieg powoli topniał. Byłyśmy pod wrażeniem uroku wioski, do której trafiłyśmy. Najładniejsze były malusieńkie domy rolników. Ich doły zbudowane były z śnieżnobiałych kamieni wapiennych, a góry – z ciemnobrązowego drewna. Werandy zajmowały przednią część domków. W lśniących oknach wisiały muślinowe firanki. Weszliśmy do

najładniejszego z domków przez niską framugę. Izba była bardzo przytulna. Na starej, skrzypiącej sofie siedział (stary) dziadek. Palił długą fajkę. Na jego kolanach mruczał stary kocur. Jego wielkie oczy patrzyły na nas z wyrzutem. Już mieliśmy uciekać, gdy nagle stara gospodyni zapytała grzecznie: „Czego u nas szukacie?" Zawstydzeni powiedzieliśmy na głos, po co przyszliśmy. Staruszka kuśtykając udała się do sąsiedniego pokoju i przyniosła dwa, jeszcze ciepłe jajka. Zachęceni uprzejmością tych państwa, zapytaliśmy, czy moglibyśmy u nich zamieszkać. „Najpierw musimy zapytać właściciela", powiedziała gospodyni w dialekcie bawarskim. Radośnie udaliśmy się do szkoły. Nie wiedzieliśmy, co przynieść może następny dzień.

17.3.49

4. NA KOŃCU ŚWIATA

Następnego ranka, kiedy stałam przy studni i myłam się, zobaczyłam z daleka zbliżające się wozy konne. Było ich bardzo dużo. Migiem pobiegłam do klasy. „Przenoszą nas", wydukałam. Tak też się stało. Woźnica z biczem w dłoni wszedł do środka. „W drogę", warknął. Jeden po drugim, wszystkich wyprowadzono. Późnym popołudniem my także zasiadłyśmy w wozie konnym. Konie radośnie mknęły przez wieś. W końcu skręciliśmy w polną drogę. Ciągnęliśmy tak coraz dalej, jak okiem sięgnąć – żadnego domu. Zbliżał się wieczór, niebo robiło się purpurowe. Chmury powoli sunęły po niebie. Na łąkach przemykały cienie. Przydrożna brzoza rozpostarła swe gałęzie jak straszące duchy. Minęło jeszcze pół godziny, zanim dotarliśmy do celu. „Koniec świata", pomyślałam. W blasku księżyca wóz wjechał do gospodarstwa. Przyjęto nas przy drzwiach wejściowych. Parobek odprowadził konie do stajni. W niskiej kuchni roznosił się niebezpieczny zapach; gospodyni szybko pobiegła ratować makaron. Uraczono nas gorącą zupą jajeczną. Byłyśmy tak zmęczone, że zaraz

chciałyśmy pójść spać. Ale było tylko jedno łóżko. Mama nocowała w tej strasznej kuchni. Przy pierwszym pianiu koguta obudziłam się. Na dole w kuchni czekała na mnie zupa. Jakkolwiek mili byli ci ludzie, nie mogłyśmy tu zostać. Pokój był zbyt mały i nie miał ani ogrzewania, ani światła. Proste okna zasłonięte były tekturą. Całe gospodarstwo wyglądało niezbyt dobrze. Nocą mama słyszała szeleszczenie myszy. Na naszą prośbę parobek odwiózł nas z powrotem do wsi. W drodze powrotnej mijaliśmy ładny domek. Gospodyni akurat sypała kurom ziarno. Zobaczyła nas i rozpoznała z wyprawy po jajka. Nasza sytuacja wywołała jej współczucie, a kiedy jeszcze zobaczyła moją chorą siostrzyczkę, rzekła dobrotliwie „Niedługo będziecie u nas". Nasze twarze rozpromieniła nadzieja. Następnego dnia mogłyśmy się szczęśliwe wprowadzić.

21.3.49

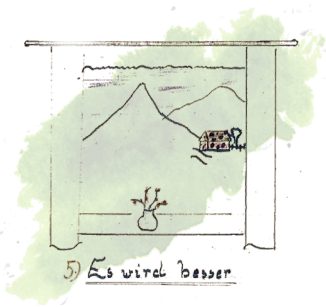

5. ROBI SIĘ LEPIEJ

Obudził mnie gorący promień słońca. Jak dziś pięknie na dworze! Śnieg musiał już zwolnić pole. Szybko się wyszykowałam. Lodowata woda ze studni szybko mnie orzeźwiła. Zaraz miała się zacząć przeprowadzka. Mama właśnie podała mi małą walizkę do ręki, kiedy otworzyły się drzwi. „Resi!", zawołałyśmy razem z siostrą. Tak! Córka naszego nowego gospodarza przyszła nam pomóc. Od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Pośród radosnych pogawędek nasze rzeczy znalazły się w domu. Nasz pokoik zaskoczył nas wszystkie. Słodka, słoneczna izdebka z trzema okienkami, dwoma łóżkami, stołem, krzesłem i komodą. Okna zdobiły małe kwiatki w doniczkach. Piękny miałyśmy stamtąd widok. Daleko, ponad polami i łąkami można było sięgnąć wzrokiem bardzo daleko, aż do małego lasku. Byłyśmy zachwycone naszym nowym domem. Rodzina, która nas przygarnęła, była bardzo duża: dziadkowie, rodzice i troje dzieci. Najstarsza miała 16 lat. Największą troską

mojej mamy była wciąż nasza najmłodsza. Ale wkrótce także i to miało się poprawić. Mogła teraz pić mleko od najlepszej krowy. Jak tylko wyzdrowiała, jej policzki stały się okrągłe jak u trębacza.

Ale tęsknota za domem dręczyła szczególnie mamę. Ze Śląska dotarł zaledwie jeden list. Za dnia byłyśmy szczęśliwe, a wieczorami szybko zasypiałyśmy. Nawiązałyśmy przyjaźń z córkami gospodarzy Res i Zens. Szalałyśmy z nimi na polach i w lasach. Jak mogłybyśmy być smutne?

Christa Scholz, nazwisko rodowe Erben (2. z prawej)
podwórze Ullricha – nie istnieje już

24.3.49

6. NA ŁĄKACH I BŁONIACH

Nastało lato. Jak szybko upływał czas… Słońce grzało teraz pięknie z nieba. „Jedziecie z nami na błonia?", zapytała Resi któregoś dnia. „Pewnie!", odpowiedziałyśmy radośnie. Jak tylko zapakowałyśmy wystarczająco dużo prowiantu, a nasz plecak naprawdę nie mógł już więcej pomieścić, wóz – a na nim rozradowane my – ruszył w kierunku bramy. Krowy „Ichekerl" i „Ilse" nie musiały ciągnąć dużego ciężaru. Do słonecznej polany droga była daleka. Wóz jechał wzdłuż pięknej, niebieskiej rzeki Vils. Woda zachęcała do kąpieli. „Jak cudnie byłoby móc wejść do wody!", zawołałam. Postanowiłyśmy wkrótce przyjść się wykąpać. Krowy wkroczyły na łąkę. „Jesteśmy!", krzyknął rolnik. Z rozświetlonymi buziami i roześmianymi oczami zeskoczyłyśmy z wozu, ale jak rażona piorunem, szybciutko na niego wróciłam. Na ściernisku rósł krzak pokrzyw. W moim zapale w ogóle go nie zauważyłam i wskoczyłam prosto w niego. Zrobiły

mi się małe bąble. Pobiegłam do pobliskiego strumyka i pospiesznie włożyłam do niego obie nogi. „Masz drewniaki!", zawołała Resi. Poterkotałam w nich naprzód. Drewniaki były dla mnie o wiele za duże, więc co chwilę upadałam na nos. Michel, ośmioletni syn właścicieli, za każdym razem trzymał się za brzuch ze śmiechu. Wzięliśmy się w końcu do pracy. Najpierw trawę, która już częściowo wyschłą, trzeba było jeszcze raz roztrząsnąć. Rolnik dokaszał wciąż nową. My dzielnie pomagałyśmy przy roztrząsaniu. Nadeszło południe. Przy 12 uderzeniu zegara wiejskiego skończyłyśmy. Siadłyśmy pod wierzbą płaczącą. Jej gałęzie sięgały do ziemi. Melli, najstarsza, położyła każdemu kromkę ciemnego chleba ze strasznie dużym plastrem słoniny. Szybko przyniosłam naczynie z wodą źródlaną. To dopiero była uczta! Do dziś pamiętam ten posiłek. Ugotowana słonina była tak soczysta, że tłuszcz aż kapał. Wróciliśmy do pracy. Ostre południowe słońce dawało nam w kość. Na moim czole pojawiły się krople potu. Do tego te nieszczęsne drewniaki… Wreszcie zgrabiłyśy suche siano na jedno miejsce i załadowałyśmy je. Duży wóz był całkowicie załadowany. Powoli nadchodziło popołudnie. Teraz trzeba było wracać, bo przed nami daleka droga, a krowy miały teraz co ciągnąć. Wreszcie to, co najfajniejsze: wdrapałyśmy się na wóz i wpełzłyśmy w pachnące siano. Śmiejąc się i śpiewając, pojechałyśmy do domu.

Christa Scholz, nazwisko rodowe Erben (2. z prawej)
podwórze Ullricha – nie istnieje już

28.3.49

7. AUA, MÓJ BRZUCH!

Następnego dnia moja siostra i ja byłyśmy zaproszone przez dzieci sąsiada Res i Zens. Zmyłyśmy się zaraz po jedzeniu. Najpierw poszłyśmy do sadu. Największe drzewo to był chyba orzech. Jedna z gałęzi sięgała dość nisko. Przywiązałyśmy do niej linę i zrobiłyśmy huśtawkę. Potem rzuciłyśmy się w cień krzewu bzu i zjadłyśmy soczyste jabłka. Gospodyni przyniosła nam górę kanapek z marmoladą morelową. To było coś dla nas, łasuchów. Zjadłyśmy wszystko, do ostatniego kawałka. Wypiłyśmy też całe świeże mleko. Ale akurat to nie był dobry pomysł po tych wszystkich owocach. Byłyśmy najedzone do syta. Jak chętnie spróbowałybyśmy jeszcze brzoskwiń… „Wiem, co zrobić, żebyśmy znowu zgłodniały. Zrobimy wyścig, przy tym na pewno zgłodniejemy!”, powiedziała Zens. Pomknęłyśmy przed siebie, aż się zgrzałyśmy. O mały włos nie zaczęłyśmy pić jeszcze wody. „Oj!”, jęknęła Res, „mój brzuch…”. Ja wcale nie czułam się lepiej. Najszybciej jak mogłam, pobiegłam z siostrą do domu, więc pożegnanie było krótkie.

12.4.49

8. DWIE WIEWIÓRKI

„Rolnik leśny sprzedaje taaakie wielkie czereśnie!", zawołała Resi wchodząc do izby. „Idziesz?", zapytała mnie. „Oczywiście!", zawołałam cała w skowronkach. Pobiegłyśmy więc najszybciej jak mogłyśmy do rolnika leśnego. Jego dom stał na skraju lasu. Ledwo dyszące i całe zgrzane dotarłyśmy na miejsce. Weszłyśmy do małej kuchni. Gruba pani uśmiechnęła się do nas wesoło. „Ale musicie same zebrać je z drzewa". „Świetnie!", krzyknęłyśmy. Szybko przeskoczyłyśmy przez płot. Wysoka drabina oparta była o drzewo. „Ale nie spadnijcie mi tutaj!", zawołała młoda dziewczyna, bo musiała już wejść do domu. Wspięłyśmy się na drzewo jak dwie wiewiórki. Rwałyśmy coraz więcej tych ciemnoczerwonych czereśni, ale torba jakoś nie chciała się zapełnić. Co chwilę jakaś czereśnia trafiała do buzi. W końcu udało się. Zadowolone wróciłyśmy do domu. Pieniądze wciąż leżały w torbie, bo gospodyni nie chciała nic przyjąć. Słońce słało ostatnie pozdrowienia na Ziemię, kiedy dotarłyśmy do domu.

22.04.49

9. NASZ NOWY MIESZKANIEC

„Kukuryku", zapiał kogut. „Kukuryku!", przetarłam oczy. „Kukuryku!" wybrzmiało raz jeszcze. Wyskoczyłam z łóżka. Na zewnątrz wszystko błyszczało już w świetle porannego słońca. Powoli zeszłam po wąskich, drewnianych schodach. Weszłam do kuchni. Nad poranną kawą unosiła się para. Obok niej leżała gruba, pysznie wyglądająca kanapka z masłem. „Gdzie jest Resi?", zapytałam. „Jeszcze śpi", odpowiedziała gospodyni. „Oj, poczekaj, śpiochu!", mruknęłam. Wzięłam dużą gąbkę, wyszłam do studni i porządnie ją namoczyłam lodowatą wodą. Po cichu, jak myszka, wśliznęłam się do sypialni. Właśnie! Resi leżała i chrapała, aż się ściany trzęsły. Zachichotałam i… Chlap! Gąbka przejechała po jej rumianej snem twarzy. Przeciągnęła się. Spojrzała na mnie przez sen, na wpół przytomna. Potem odwróciła się na drugą stronę i dalej spała. „Bezczelna!", pomyślałam sobie i… jeszcze raz: gąbka znów przejechała po twarzy Resi. Głośno się roześmiałam. Szybko wskoczyła z łóżka, w mgnieniu oka ubrała się i zaraz była gotowa. „Słuchaj", zaczęłam, „możemy złożyć jabłonce poranną wizytę!". „O tak, to jest myśl!", zawołała uradowana. „Wejdziemy najpierw na sąsiek, żeby zebrać jajka", mówiła dalej Resi. „Więc możemy wpierw porządnie się wyszaleć!" I tak terkotałyśmy jedna przez drugą. Weszłyśmy po wąskiej drabinie, która prowadziła na sąsiek i skakałyśmy tam wesoło. Po chwili chciałam się schować. Wśliznęłam się w najdalszy kąt. Nagle zobaczyłam przed sobą coś białego, świecącego. Nasza wielka kotka, Muschi: to była ona! Ale co leżało obok? Malutki kotek! „Resi, Resi!", zawołałam tak głośno, jak tylko mogłam. „Mały kotek!" „Gdzie, gdzie?", zapytała dysząc. Stałyśmy teraz obie przed gniazdem i podziwiałyśmy słodziutkie kociątko. Miało szarą sierść, dwoje najweselszych oczu spoglądało teraz na nas. Zapomniałyśmy przy tym całkiem o jabłoni. Nagle Michel zawołał z dołu: „Resi, gdzie jesteście?" Spojrzałyśmy w dół. Ze zdziwienia zapomniałyśmy zamknąć buzie. Jego

kieszenie były zapełnione pięknymi jabłkami. Nasze jabłka! „Ty, Michael…", zaczęłam, „Dasz nam połowę Twoich jabłek? Zdradzimy Ci coś." Długo się nie zastanawiał i zgodził się. On też był bardzo uradowany malutkim kotkiem, a Resi i mi bardzo smakowały słodziutkie jabłka.

10. POGODA NA KĄPIEL!

„Hau, hau!" – słychać było z ulicy. „Hmmm…", pomyślałam sobie. Co to jest? Ułożyłam się na nowo w łóżku i spojrzałam przez okno. Słoneczko świeciło pięknie. Jeszcze raz usłyszałam ten dźwięk. Ach, to psy pana rzeźnika znów się kłóciły. „Ja im pomogę!", powiedziałam półgłosem sama do siebie. Po cichu wyszłam z łóżka, unikając każdego skrzypnięcia. Szybko wygładziłam na sobie ubranie i pobiegłam do studni. Wszystko trwało nadal w głębokim śnie. Kiedy otwarłam drzwi, poczułam powiew zimnego powietrza, pospieszyłam przez łąkę pokrytą rosą. Wszędzie widziałam świecące na mnie promienie słońca. Kiedy wróciłam z porannego spaceru, czekały na mnie przy wejściu do ogrodu moja siostra i Resi. „Dzisiaj popołudniu idziemy się przewietrzyć!", poinformowały mnie. „O, wspaniale!". Przedpołudnie szybko minęło. Wielkie kluski z kaszy migiem zniknęły. Rzeczy do kąpieli wraz z wielkim kawałkiem ciasta jabłkowego i butelką mleka szybciutko znalazły się w plecaku. Kwadrans później maszerowałyśmy

Christa Scholz, nazwisko rodowe Erben (z tyłu) z siostrą Brygidą

już we trójkę we wspaniałych nastrojach do kąpieli. Słońce grzało gorąco z nieba. Po godzinie dotarłyśmy do rzeki Vils. Przebrałyśmy się i wskoczyłyśmy do chłodnej wody. Pluskałyśmy nią wysoko. Miałyśmy świetną zabawę, mogąc się tak po prostu wyszaleć w kąpieli. Wskakiwałyśmy co chwilę do wody, wtedy robiło się dużo piany. Po dobrej godzinie położyłyśmy się na kocyk. Rozprostowałyśmy kończyny. Wspaniale smakowało ciasto jabłkowe. Po tym, jak już się posiliłyśmy, szalałyśmy jeszcze na łące. Bawiłyśmy się w berka i w „Blinde Kuh" – „ślepą krowę". Nie było weselszego towarzystwa od nas. Ale w końcu musiałyśmy wrócić do domu. Nasze policzki lśniły jak jabłka pokryte woskiem. Śpiewając i rozmawiając wesoło, ruszyłyśmy w drogę do domu.

7.5.49

11. ZACHÓD SŁOŃCA NA WERANDZIE

Tydzień po dniu kąpieli siedziałyśmy wieczorem na werandzie. Mama robiła na drutach śpioszki dla naszej najmłodszej. Z tej małej, drobnej dziewczynki zrobiło się już całkiem silne dziewczę. Śmiejąc się, leżała w wózku i machała wesoło grubymi nóżkami. Przy tym jej oczka wpatrywały się w nas. Teraz znowu zasnęła, podczas kiedy my siedziałyśmy jeszcze pół godzinki na balkonie. „Chcecie się jeszcze odświeżyć?", usłyszałyśmy nagle głos babci. Dla każdego miała miseczkę pełną borówek ze śmietaną. Wdzięcznie wszystko przyjęłyśmy. Jak czyste było wieczorne powietrze! Jak ognista kula, słońce zbliżało się do horyzontu. Wszystko błyszczało na złotoczerwono. Wiatr szumiał tajemniczo. Poprzez gęste jałowce z oddali zbliżały się lekkie mgły. Nie było słychać nawet śpiewu żadnego ptaka tego cichego wieczoru, natomiast chmury z dużą prędkością przebiegały po wieczornym niebie. Przez tę ciszę słychać było tylko tępe dźwięki dzwonów. Było już późno. W milczeniu poszłyśmy do pokoju i wśliznęłyśmy się do łóżek. Po krótkim czasie spojrzałam na obsiane gwiazdami niebo. Kto wie, co w najbliższym czasie znowu będzie się działo…

21.5.49

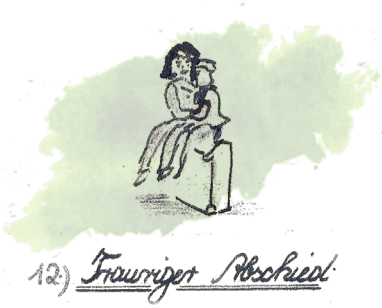

12. SMUTNE POŻEGNANIE

Była już połowa czerwca i czas bardzo szybko mijał. Nie chciałam dzisiaj wstawać, bo oznaczało to, że musimy się pożegnać z Bawarią. W ostatnim czasie wielu ludzi wyjechało, spośród tych, którzy razem z nami przybyli uciekając. „Reisefieber" – „gorączka przed podróżą" dotknęła też nas. Ubieranie się, co to tej pory szło mi bardzo szybko, trwało dzisiaj prawie pół godziny. Aż się bałam pójść do kuchni, wszędzie były te spoglądające na nas smutne twarze. Wreszcie byłam gotowa. Powoli zeszłam po skrzypiących drewnianych schodach i w tym samym tempie poszłam do studni. Wydawało mi się, jakby ona potrzęsła swoją dostojną głową na głupią myśl, żeby wyjechać. Dzisiaj to pyszne śniadanie jakoś nie wchodziło. Nasz bagaż stał już gotowy. Już czas. Wóz konny, który miał nas zawieźć na dworzec, właśnie podjechał. Wkrótce nadeszło krótkie i bolesne pożegnanie, jeszcze machanie no i ruszyliśmy. Po chwili zrobiło mi się jednak bardziej pogodnie na sercu. Myśl, że zobaczę ojczystą ziemię i wszystko tam, też była piękna. Jeszcze pół godziny konie kroczyły przez pogodny poranek wiosenny. Na dworcu był jeszcze krótki postój. Potem razem z naszym dużym bagażem weszłyśmy do wagonu towarowego. Pociąg ruszył w nieznane.

27.5.49

13. POCZĄTEK PODRÓŻY

Była noc. My, trzy rodziny w wagonie towarowym, upchnęłyśmy nasz bagaż w kąt i leżałyśmy teraz na workach. Z tęsknotą myślałam o moim łóżku w Bawarii. Chciałam je mieć tu, przy sobie. Pociąg towarowy toczył się przed siebie. Na dworze słychać było pluskanie silnego deszczu. Po ścianach krople spływały w dół. Nie mogłam zasnąć. W worku, na którym leżałam, musiał być garnek, który mnie uciskał. Powoli nadeszła noc. Księżyc spoglądał z uśmiechem przez małą dziurę w oknie. Zdrzemnęłam się. Kiedy otwarłam oczy, szarzył się już poranek. Przez cały dzień jechaliśmy. Znowu nadeszła noc, ale teraz stało się coś, czego się już o dawna bałyśmy. O północy musiałyśmy opuścić pociąg, a bagaż został nam wydany. Stałyśmy na opuszczonym, ciemnym dworcu w Fürth. Byłam zmęczona, wręcz padnięta. Poczekalnia była całkiem zbombardowana. My, dzieci, położyłyśmy się po prostu na wykafelkowanej podłodze i zasnęłyśmy głęboko. Minęła może godzina, kiedy coś mną potrząsnęło. „Wstawaj!", powiedziała moja mama. „Musimy iść dalej!". Rozespana, rozejrzałam się. Ale nie mogło minąć zbyt wiele czasu. Znów wyszłyśmy przed siebie na peron. Delikatny deszczyk rosił mi na twarz. Teraz jakiś kolejarz pomógł nam wejść do pustego wagonu, ale… Ojej, tu nie było dachu! Trudno, weszłyśmy. Było nas tam w tym przedziale trzy rodziny. Bałam się. Na niebie świeciły gwiazdy. Nie trwało długo, aż znowu zasnęłam. Wczesnym rankiem dotarłyśmy do dworca Bamberg. Znowu zawiadowca zawołał „Wysiadać!". Słońce ciepło świeciło na niebie. Siadłyśmy na nasz bagaż i chciałyśmy zjeść kanapkę z tłuszczem. Ogromna ilość ludzi też czekała na pociąg. O, już się zbliżało czarne monstrum do hali dworcowej. Wsiadłyśmy, na ślepo. Przez kolejne dwie godziny ściśnięte jechałyśmy razem. Późnym popołudniem dotarłyśmy do Lichtenfels. Tam już po raz trzeci wygoniono nas, ale na peronie nie mogłyśmy zostać. Wielkimi gumowymi pałkami jakiś Amerykanin przepędził nas. No ale dokąd

mieliśmy iść? Ogromna ilość ludzi spoglądała wokół siebie bezradnie. „In der Not frisst der Teufel Fliegen" (Żebracy nie mogą wybierać) brzmi niemieckie powiedzenie. Więc poszłyśmy na Wiesenplatz (trawnik) i tam się rozłożyłyśmy. Ale niedługo potem ciemne chmury pojawiły się nad horyzontem i spadły wielkie, ciężkie krople. Wieczór już nie był daleko i nie było widoku na dalszą podróż, więc musiałyśmy poszukać sobie jakiejś kwatery na noc. Ale o tym zaraz opowiem.

2.6.49

14. W KOZIARNI

W pobliżu dworca Lichtenfels stała stara gospoda. Dzikie wino pięło się po jej murach. Właścicielem był miłosierny człowiek. Chciał nam udzielić schronienia na noc. Mama najpierw ugotowała w butelce grysik dla naszej małej. My też dostałyśmy po talerzu ciepłego rosołu. Potem mogłyśmy w końcu pójść spać. Byłyśmy wykończone. Wsadzono nas, zamiast kóz, do koziarni. Gospodarz roztrząsnął świeżej słomy na warstwę starej i zostawił nas same. Teraz leżeliśmy jeden przy drugim, bo było tam zakwaterowanych więcej ludzi. Wkrótce chrapałyśmy na wyścigi. W nocy, kiedy raz się obudziłam, słyszałam szelest myszy. „Sz – sz", skakały w słomie. Wystraszyłam się. Jak długo to jeszcze potrwa?

Punktualnie o szóstej drzwi się otwarły. Wszyscy wypadliśmy na zewnątrz. Tylko świeże powietrze… Znów udaliśmy się na stary trawnik na Wiesenplatz. Setki ludzi już tu leżały i czekały, aż pociąg zawiezie ich dalej. Cały dzień tak spędziliśmy. Wieczorem udałyśmy się do naszej poprzedniej kwatery, czyli koziarni. Mama wykąpała naszą najmłodszą, kiedy nagle moja siostra weszła po schodach do góry. „Pociąg, pociąg!", wołała cała podekscytowana. Mama szybko otrzepała kapiącego wymoczka. Potem szybkim tempem udałyśmy się na dworzec. Pociąg stał już gotowy. Udało nam się jeszcze znaleźć pusty wagon i ruszyliśmy. Dokąd?

Mocno trzęsło nami, to w jedną, to w drugą stronę. Zasnęłam głęboko i kiedy rano się obudziłam, pociąg zagwizdał i zatrzymał się. Staliśmy w dużej hali dworcowej. „Hof, miasto graniczne. Wysiadać!" Jak zwykle zawołał konduktor. Dużym wózkiem pocztowym wwiozłyśmy nasz bagaż do małego, brudnego pomieszczenia dworcowego. Wieczorem przeżyłyśmy wielką niespodziankę: dla uchodźców przewidziany był hotel! Było w nim wiele pokoi. Trzy rodziny, wśród nich my, otrzymały piękny pokój. Ale był całkiem pusty. Załatwiłyśmy sobie drewniane leżanki i tym samym miałyśmy zapewniony nocleg. Za hotelem zrobiłyśmy sobie z cegieł miejsce do gotowania. Tu nasza mama gotowała dla Marianne zupkę. Każdego dnia mogłyśmy z kuchni socjalnej przynieść sobie coś ciepłego. Trwało to tydzień. Granica nie została otwarta i zbierało się coraz więcej ludzi. Życie obozowe już nam obrzydło. „Kiedy to się wreszcie skończy?", tak wielu ludzi zadawało sobie codziennie to pytanie.

19.6.49

15. PRZEKRACZAMY „ZIELONĄ GRANICĘ"

Z trudem przeszliśmy przez amerykańską granicę. W Hof już nie mogłyśmy wytrzymać. Przebiegłyśmy więc przez rosyjską granicę. Szłyśmy przez las i głębokie bagna. Aż do kostek brnęłyśmy w tym. Trudno nam było pchać wózek dziecięcy, a jaki ciężki zrobił się bagaż… Było strasznie. W końcu dotarłyśmy do rosyjskiej granicy. Dwóch pograniczników nas zatrzymało: „tam, z tyłu!", zawołał jeden z nich. Pobiegłyśmy między polami i łąkami, aż stanęłyśmy przed wielką stodołą. Ograbiono nas i zamknięto, a drzwi zaryglowano. Wielu Niemców leżało tam w sianie i byli, podobnie jak my, szczęśliwi, mogąc odpocząć po tak długim marszu. Kiedy my, dzieci, zasnęłyśmy, Rosjanie energicznie otwarli drzwi i zawołali: „Szykować się, jedziecie dalej". Chciałyśmy dostać się na dworzec, dałyśmy to do zrozumienia rosyjskim żołnierzom, ale oni się śmiali i tylko zawołali: „Już my was zaprowadzimy na dworzec!". Przegonili nas do przodu. To był długi

rząd ludzi. Potem Rosjanie biegli z biczami. Była godzina ósma. Ściemniało się, a droga zdawała się nie mieć końca. Wiele, wiele małych gwiazdek patrzyło na nas z góry, jakby chciały nas chronić, chciały nam – Niemcom – świecić, jakbyśmy byli samotni i opuszczeni. Teraz skręciliśmy w boczną dróżkę. Znów szliśmy przez bagna i grzęzawiska. Ze zmęczenia padaliśmy. „Dalej!", wołał Rosjanin, „dalej!". Na stojąco zamykały się nam oczy. To były męki. Biegliśmy tak od trzech godzin. Z daleka widzieliśmy małą wioskę, gdzie mogliśmy przenocować. Ale, kiedy się zbliżyliśmy, okazało się, że to tylko fata morgana. Godzina po godzinie, do przodu. Kilka wierzb wystawiało swoje łyse gałęzie do nieba. Gdzieś słychać było puchacza. Ostatkami sił brnęliśmy jeszcze kawałek do przodu, potem padliśmy wykończeni na ziemię. Lecz surowi żołnierze nie dali nam odpocząć. Co chwilę biczowali nas, każąc nam iść dalej. Dzieci krzyczały, matki błagały… Czuliśmy się okropnie. Czy ci ludzie nie mieli w ogóle serca? Wreszcie! Wreszcie! Czy to też nie było złudzenie? Dotarliśmy do wioski. Zegar na wieży kościelnej głosił drugą w nocy. Mogliśmy przenocować u rolnika. Rano, zanim zapiał kogut, musieliśmy iść dalej. I znów: pięć godzin marszu, aż dali nam spokój. Byliśmy szczęśliwi, pozbywszy się naszych dręczycieli. Pewien rolnik, który zlitował się nad nami, przywiózł nas swoim wozem konnym do oddalonego o 10 km dworca Göttengrün. Stamtąd jechaliśmy z przesiadkami do Drezna.

23.6.49

16. ZBLIŻAMY SIĘ DO OJCZYZNY

Czternaście dni przebywałyśmy w Dreźnie u krewnych. Najpierw trochę odpoczęłyśmy po tej długiej podróży. Ale trzeba było podążać dalej, żeby wreszcie dotrzeć do ojczyzny. Znowu trzeba było pakować plecaki i walizki, żegnać się i znowu czekało nas straszne życie uchodźców. Naszą najmłodszą postanowiłyśmy zostawić w Dreźnie. Nie chciałyśmy, żeby znów się rozchorowała. Zaraz po śniadaniu zawiązałyśmy nasz tobołek i ruszyłyśmy. Sierpniowe słońce grzało z nieba. Z dworca Coswig jechałyśmy dalej do

Rohland. Tam musiałyśmy wysiąść. Rozłożyłyśmy się w korytarzu dworca, bo poczekalnia była zbyt pełna. Żaden pociąg nie nadjeżdżał. Wieczór nadszedł, a potem noc. Na zewnątrz rosił deszcz. Nagle w nocną halę dworca wjechał pociąg. Wszyscy wybiegli na zewnątrz. Jakieś dziecko leżało na środku peronu, ale nikt się o nie nie troszczył. Wszyscy widzieli tylko jeden cel: ojczyzna. Wykończone, wsiadłyśmy do wagonu. Wciśnięto nas do kąta. Wokół nas było zupełnie ciemno, słyszałyśmy tylko szepty tej wielkiej liczby ludzi. Nocą nagle słychać było straszliwe krzyki wielu ludzi. Polacy wskoczyli na jadący pociąg. Splądrowali podróżnych i uciekli. Zbliżał się nowy poranek. Pociąg dalej mknął przed siebie. Teraz miało miejsce jeszcze jedno, troszkę przyjemniejsze zdarzenie. Pociąg zatrzymał się właśnie, kiedy pewien Niemiec niepewnym krokiem zbliżył się do naszego wagonu. Twarz miał całą zakrwawioną, a oczy miały tępy wyraz. Prosił drżącym głosem, żebyśmy pozwolili mu jechać z nami. Polacy pobili go w nocy, tak że padł nieprzytomny. Przeszedł nas dreszcz. Jak to ma wyglądać? W równym tempie pociąg ruszył dalej. W naszych uszach brzmiał dzień i noc odgłos kręcących się kół pociągu. Zmęczone dojechałyśmy wieczorem do Legnicy na Śląsku. Dworzec był brudny, nie było widać żadnego pociągu. Z wszystkich kątów chciwe pary oczu przyglądały się naszemu bagażowi. Ze strachu drżałyśmy na myśl o nocy. Po długich naradach postanowiłyśmy iść pieszo do oddalonego o 20 kilometrów dworca w Jaworze. Najpierw przedostałyśmy się przez miasteczko. Nasze zmęczone oczy nie widziały tych słodkich małych domków z muru pruskiego, porośniętych winem. Nie widziały tych niebieskich gór na horyzoncie ani tej żarzącej się na czerwono ognistej piłki zachodzącego słońca. Szukałyśmy kwatery na noc. Wszędzie spoglądały na nas złośliwe twarze Polaków. Musiałyśmy uważać, żeby nie dostać kilku razów biczami. Przez trzy godziny tak szłyśmy. Bardzo chciało nam się pić. Od kilku Niemców dostałyśmy wreszcie coś do picia i poszłyśmy dalej. Zaczęło się ściemniać. Na skraju drogi leżały stare garnki, mundury, hełmy itd. Jak okiem sięgnąć, nie było widać ani jednego domu. Około ośmiu osób dołączyło do nas. Była prawie noc. Droga była całkiem pusta. Otoczyła nas przerażająca cisza. Ledwo miałyśmy odwagę oddychać. Nagle – co to było? Usłyszałyśmy czyjeś kroki. Serce kazało nam się cicho zatrzymać. Jakaś postać nagle pojawiła się przed nami. Jak muzyka z niebios zabrzmiał dla nas znajomy język ojczysty. „No… dokąd idziecie o tej porze?" A my wylałyśmy z serca wszystko niemieckiemu rolnikowi. „Tak," odpowiedział, „No, to jest odważny plan. To nie skończy się dobrze." Zrezygnowane, spuściłyśmy głowy. „Ale chyba możecie tu przenocować", pokazał nam domek stojący

na uboczu, a potem oddalił się głośno krocząc, życząc nam dobrej nocy. Wkrótce zniknął w ciemności. W ten sposób doszłyśmy do domku. Wyglądało tam strasznie. Wszystko było porozrzucane. Ze strachem wślizgnęłyśmy się na sąsiek. Ściśnięci, leżeliśmy tak i słyszeliśmy tylko duże, ciężkie krople deszczu, padające na dach, ale też zbliżającą się burzę w oddali. Ale potem oczy zamknęły nam się, jakby były z ołowiu. Pierwszy głęboki sen zajął całe nasze ciała.

30.06.49

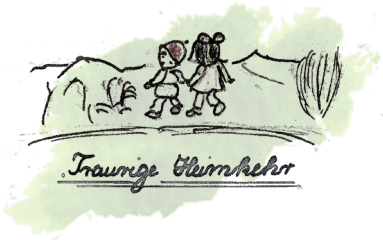

17. SMUTNY POWRÓT DO DOMU

Na dworze zaczęło świtać. Głośny podmuch wiatru wpadł do środka. Otwarliśmy oczy. Po cichu zeszliśmy po wąskiej drabinie w dół. Na dworze było jeszcze ciemno. Z bagażem na plecach na nowo zaczęliśmy marsz. Po pół godzinie słońce wstało. Było nam coraz cieplej. Nasz bagaż doskwierał nam i pociliśmy się okropnie. Bardzo chciało nam się pić. Jak okiem sięgnąć, żadnego domu. Kiedy doszliśmy do studni, była ona zniszczona. Nie mogłyśmy nic jeść, tak piekły nas gardła. Droga nie miała końca, teraz widziałyśmy jednak wysokie, dymiące kominy pobliskiego miasta Jawor. Wkrótce dotarliśmy do dworca. Najpierw poszłyśmy po wodę i zaspokoiłyśmy pragnienie. Wzmocnione czekałyśmy na następny pociąg. Miałyśmy duże szczęście dzisiaj. Nie trwało długo, aż nadciągnął czarny… Musieliśmy się wiele razy przesiadać. W końcu dotarłyśmy do Landeshut, ostatniej stacji przesiadkowej. Tam każda z nas zjadła kromkę chleba z masłem. Teraz pociąg był prawie pusty. Weszliśmy do środka. Surowi Polacy wypchali nas jednak z niego. „Dla Niemców nie ma miejsca", urągali nam. Nie pozostało nam więc nic innego, jak wejść na dach. Wszystkie przestrzenie między wagonami były już zajęte. Udałyśmy się na górę. Jeden gwizd, jedno szarpnięcie i zbliżałyśmy się coraz bardziej do ojczyzny. My, dzieci, śpiewałyśmy z radości. Nagle usłyszałyśmy straszliwy krzyk. Zadrżałyśmy. Położyłyśmy się płasko na dach. Jakiś pan z przedniego wagonu spadł gdzieś na dół.

Dostał żelaznym łańcuchem w głowę. A pociąg mknął dalej. Przedgórze Karkonoszy było coraz lepiej widoczne. Pociąg, przy dźwięku naszych radosnych okrzyków wjechał na naszą ojczystą stację. Cała podenerwowana chodziłam w kółko. Zaraz wrócimy kolejką do naszej wioski. Stare, kochane domki pozdrawiały nas. Biegłyśmy teraz przez mały park. Buki szumiały jak kiedyś, po swojemu. Kiedy słońce zniknęło za górami, pozdrowił nas nasz domek rodzinny. Jego czerwony dach zaświecił nam na przywitanie. Nasze serce zaczęło bić, że prawie wyskoczyło z piersi. Ogrody były przystrojone jesienią, a lipy przed naszym domem oblekły się w kolorowe szaty. Pociągnęłyśmy za klamkę. Żebyśmy wreszcie mogły zobaczyć naszego kochanego ojca! Drzwi otwarły się i stanął w nich nasz dziadek. „Dziadziusiu!", zawołałyśmy radośnie. Ale kiedy weszłyśmy do kuchni, rozejrzałyśmy się wystraszone wkoło. „Gdzie jest ojciec?", zapytałyśmy. Starszemu człowiekowi popłynęły po policzkach łzy. Cicho powiedział: „Dostał powołanie." Zaniemówiłyśmy. Nie mogłyśmy powstrzymać łez. W końcu uspokoiłyśmy się. Jutro trzeba było zacząć pracować, bo w domu nie było nic: ani chleba, ani soli, ani kartofli.

2.7.49

18. ZBIEGŁE ZWIERZĘTA

Byliśmy już od tygodnia w ojczyźnie. Każdego dnia mama jechała zbierać kłosy, bo nie można tu było nic kupić. Dziś chcieliśmy gdzie indziej zarobić na chleb. Chciałyśmy paść bydło u Rosjan. Wyruszyłyśmy wcześnie, było jeszcze ciemno. Biegłyśmy przez rozległe łąki. Rosa błyszczała jak diamenciki na źdźbłach traw. Także kwiatki polne miały zamknięte kielichy. Wkrótce byłyśmy u celu. Od razu wysłano nas na łąkę z krowami. Między tymi wielkimi stworzeniami czułam się jak krasnoludek. Przez całe przedpołudnie denerwowałyśmy się na te uparte zwierzęta. Na obiad

był bulion i chleb. W okropnym upale musiałyśmy wrócić na łąkę. Teraz miałam pilnować małych cielątek i prosiąt. „Ach", pomyślałam, „to jest o wiele fajniejsze". Udałam się więc do ogrodzonego miejsca i usiadłam w trawie. Cielątka były grzeczne i nie musiałam się nimi w ogóle zajmować. Także świnki leżały rozłożone w trawie. Położyłam się w zieleni. Bawiłam się trawkami i marzyłam. Tak mi się podobało! Co chwilę rzucałam krótkie spojrzenie na moje małe, leżące spokojnie stadko. Śmiałam się z tych różowych zwierzątek z zakręconymi ogonkami. Powoli mijało popołudnie. Słońce grzało niemiłosiernie. Zdjęłam rajstopy, buty i letnią sukienkę. Spacerkiem ruszyłam w halce w kierunku małego jeziorka. Zamoczyłam stopy w wodzie, po czym pobiegłam z powrotem. Te małe prosiaczki patrzyły na mnie nieufnie. Zabił stojący niedaleko wiejski zegar. Stado zrobiło się niespokojne. Musiałam bardzo uważać, żeby żadne zwierzątko mi nie uciekło przez zepsuty płot. Jednak, jak na komendę, cała grupka się rozeszła. Pobiegły na swoich krótkich nóżkach. Stałam bezradnie na pustym miejscu, z biczem w ręce. Pobiegłam za nimi. Ale kiedy mnie zobaczyły, ścisnęły oczy i hop – już były za pagórkiem. Ze strachu rozpłakałam się. Nagle zabrzmiały za mną głosy wabiące. To zadziałało jak zaklęcie na moje zwierzęta. W jednej chwili wszystkie były przy mnie, a ja zamknęłam je w stajni. Dostałyśmy wtedy każda pół chleba i trochę mleka. Księżyc wisiał już na niebie, kiedy byłyśmy w domu.

Christa Scholz, nazwisko rodowe Erben, 15 lat, w Dreźnie

3.7.49

19. NASZA PODRÓŻ DO WESTFALII

Zimę szczęśliwie przetrwaliśmy, choć byliśmy tacy samotni. Teraz panował humorzasty kwiecień. Polacy wygonili nas z mieszkania i wprowadziliśmy się do naszych sąsiadów. Któregoś dnia powiedziano nam, że wszyscy musimy się wynieść. Początkowo nie mogliśmy w to uwierzyć. W międzyczasie dostaliśmy list od ojca. Był w Dreźnie u naszych krewnych. Zebrano nas w szkole. Nie wiedzieliśmy, dokąd mieliśmy się udać.

Ruszyliśmy z dworca Wałbrzych-Stary Zdrój. Znowu załadowani do wagonów. Kolejnego poranka minęliśmy Węgliniec, gdzie cały pociąg przekazany został Anglikom. Patrzyliśmy ze łzami w oczach jeszcze raz na znikające już śląskie góry. Wiele dni jechaliśmy, aż dotarliśmy do Brunszwik-Mariental. Tu otrzymaliśmy pierwszy prowiant. Potem zawieziono nas samochodami do dworca Immendorf. Tam pozostaliśmy przez 14 dni i obchodziliśmy Zielone Świątki w ponurych nastrojach. Następnie wywieziono nas dalej, aż do Siegen w Westfalii. Znów nas odwszono, jak już wielokrotnie. Po kilku dniach wywieziono nas do Naheim w Sauerland. Od nowa zaczęło się życie obozowe, bo czekaliśmy z godziny na godzinę na pozwolenie na przeniesienie do Drezna.

Któregoś pięknego dnia, kiedy właśnie szliśmy na zakupy, wyszła naprzeciw nam kobieta z obozu i zawołała: „Szybko, wracajcie! Wielka niespodzianka czeka na Was!” Jakaż to była niespodzianka! Nasz ojciec przyjechał! Wszystkie trudy i całe cierpienie ostatnich tygodni w mig zostały zapomniane i ogarnęło nas poczucie

Gemeinsame leibliche Kinder der Eheleute: Erstes Kind

Geburtsregister Nr. 34 des Jahres 1936 G

Geburtsschein

Vornamen und Familienname: Christa Johanna Herofa Erben

geboren am 21 ten Februar 1936

in Bad Salzbrunn

Bad Salzbrunn am 25. Februar 1936

Der Standesbeamte

Bad Salzbrunn, Kr. Waldenburg (Siegel)

Getauft am 29 März 1936 in der evangelischen Kirche zu Bad Salzbrunn

Konfirmation – Erstkommunion: am 26.3.1950 – 7.4.1950

in der evg. luth. Kirche zu Eckersdorf

durch Herrn Pfr. E. Kaufe.

(Siegel)

Akt urodzenia Christa Scholz, nazwisko rodowe Erben

ogromnego szczęścia z tej wspólnoty. Dalej więc, z wieloma przeszkodami, zmierzaliśmy w kierunku Drezna.

Zniknęła nam już nasza kochana śląska ojczyzna. Zniknęła słoneczna kraina Bawarii. Szare duże miasto teraz nas otacza. Los obrał swój dalszy bieg. Ale jedno jest pewne: ojczyzna pozostanie w nas, wierność tej ojczyźnie pozostanie, a my zostaniemy dziećmi śląskich gór. I czy Drezno pokazuje nam najpiękniejsze dzieła sztuki, to domek między łąkami i falującymi polami nigdy nie pójdzie w zapomnienie, bo to jest ojczyzna. A co jest ojczyzną, wie tylko ten, kto o nią walczył i cierpiał. Temu pozostanie niezapomniana.

Ach, kochane Karkonosze,
gdzie Łaba płynie cichutko,
gdzie Liczyrzepa ze swoimi krasnalami
dziś jeszcze snuje swe podania i bajki.
Karkonosze, niemieckie góry,
moja kochana Ojczyzno!

fragment „Riesengebirgslied"

Historia ta stanowi dodatek do niniejszego tekstu,
jednakże napisana została później

DZIWNA KWATERA NA NOCLEG

Zmęczone i wykończone wysiadłyśmy w Legnicy na Śląsku z pociągu towarowego. Ale co chwilę orzeźwiała nas myśl, że idziemy w kierunku ojczyzny. Wróciłyśmy ze słonecznej Bawarii. Jak pięknie tam było! Mimo to ciągnęło nas do domu. Ile strasznych rzeczy przeżyłyśmy w tej podróży, opiszę innym razem. Z Legnicy chciałyśmy dotrzeć prosto do domu, ale na pytanie o następny pociąg odpowiedziano nam „jutro". No tak. Dobra rada była droga. Mieliśmy nocować na dworcu, gdzie tyle razy Polacy dokonywali napadów? Absolutnie nie. Z wieloma innymi ludźmi chciałyśmy iść pieszo do Jawora, oddalonego o około 20 kilometrów. Szliśmy zakurzoną drogą polną coraz dalej i dalej. Słońce już zachodziło. Podążaliśmy tak bez posiłku i odpoczynku.

Pragnienie paliło nas. Kiedy w końcu dostaliśmy od miejscowych coś do picia, podążaliśmy pełni nadziei dalej. Zrobiło się ciemno. Droga skręcała ostro i jak okiem sięgnąć, prawie żadnego domu. Księżyc spoglądał ciekawie spomiędzy chmur. Wiele, wiele małych gwiazdek zdawało się nas chronić. Chciały poświecić nam, Niemcom, jakbyśmy byli sami i opuszczeni. My, dzieci, byłyśmy wycieńczone, a dorośli wcale nie lepiej. Nagle zaczął kropić deszcz. Byliśmy zmuszeni szukać noclegu. Na skraju drogi zauważyliśmy domek. Po cichu, jak złodzieje, kilku najodważniejszych zbliżyło się do niego. Luise prawie niezauważona, otwarła małą furtkę do ogrodu. Nagle, jak uderzeni piorunem, śmiałkowie uciekli od okna, przez które spoglądali do środka. Co oni mogli zobaczyć? Dysząc dobiegli do nas. „Szybko, szybko, uciekajmy!". To było jedyne, co nam powiedzieli. Dopiero, kiedy oddaliliśmy się wystarczająco daleko od tego domu, mężczyźni powiedzieli: „W tym domu, gdzie chcieliśmy nocować, mieszkali Polacy. Hałasując, pijani wołali jak dzicy." Noc zapanowała nad okolicą. Nagle – tam, co to było!? Czy to nie czyjeś kroki? Z ciemności ukazała się jakaś wielka postać. To był niemiecki gospodarz. Zapytaliśmy go, czy moglibyśmy u niego przenocować. Odmówił kręcąc głową. Ma u siebie zbyt wielu Rosjan. „Ale tutaj", pokazał na coś, „możecie spędzić noc". Wiele par oczu podążało za palcem gospodarza. Mały domek, którego nie widzieliśmy w ciemności stał teraz przed nami. „Ale nie jesteście tu bezpieczni przed Polakami. Jak oni Was tu znajdą…" nie skończył zdania. Powłócząc nogami, rzucił na odchodnym „życzę dobrej nocy" i oddalił się. Z walącymi sercami, zataczając się ze zmęczenia, weszliśmy do ciemnego domu, bojąc się własnego cienia. Kiedy weszliśmy, coś jakby duchy przeszło koło nas. Ukazał nam się straszny widok. Łóżka całe rozdarte, wszędzie rozrzucone było pierze. Przetwory z owoców i warzyw leżały pomieszane z brudem na drewnianej podłodze. Czuć było alkohol. Podarte kawałki ubrań wisiały wokół. Pełni strachu wpęznęliśmy na sąsiek. Tam padliśmy na siano i zapadliśmy w półsen. Złe sny prześladowały nas, podczas gdy na zewnątrz kropił sobie deszcz na dach, który nie był już szczelny. Tajemnicza cisza otoczyła nas, ale kiedy się w nocy obudziłam, zauważyłam, że wszyscy spokojnie śpią. Zapomniane było całe cierpienie i spokojnie spałam ku następnemu porankowi.

POZDROWIENIE DLA OJCZYZNY

Pan księżyc podąża po czarnym wieczornym niebie,
prosta jego trasa.
Patrzy daleko przed siebie,
a wszystkie gwiazdy jadą razem z nim.
O księżycu, pozdrów moją małą ojczyznę,
pozdrów ją stąd!
Spójrz na mój dom rodzinny,
chroń go i opiekuj się nim dla mnie.
Pozdrów góry, tak skaliste, takie strome i takie szorstkie
i te wiecznie śpiewające lasy!
Księżycu, pozdrów kwitnący gaj
i tak niebieskie niebo ojczyste!